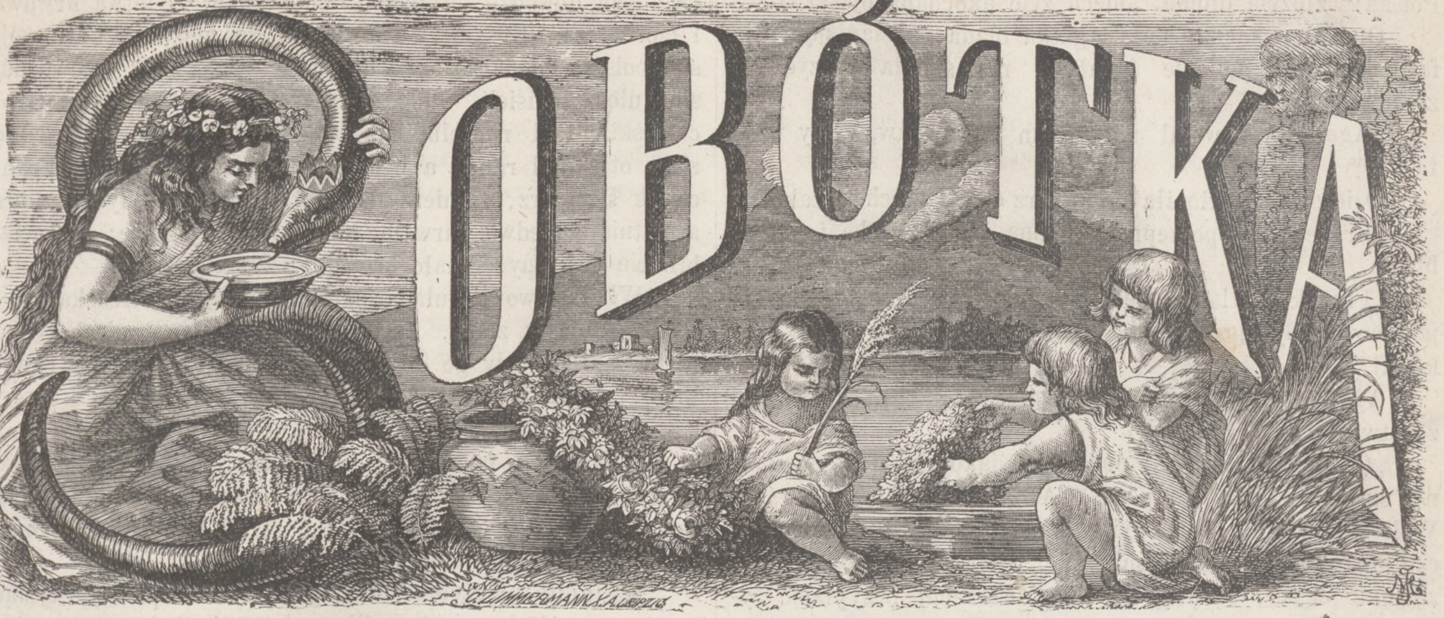
Nr. 38. Poznań, dnia 16. Września 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo $1^1/_2$ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

POWIASTKA
z roku 1795.

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie.)

VI.

Niespokojne nadzwyczaj pani Sitowska i Róża, wybrały się do Krakowa, by tam dowiedzieć się o wypadkach bitwy. Bo w Sitowcu słyszano z przerażeniem odgłos armat; mężczyzni kładli się na ziemię, przykładając do niéj ucho; a kobiety modliły się i płakały.

Panna Róża widząc bladą i smutną Agatkę, litowała się nad nią — i wyjednała u matki, że dziewczyna także pojechała z niemi. A jakżeż ona za to składała dłonie i ze łzami w oczach dobréj dziękowała panience.

W Krakowie wszelako straszna spotkała ich trwoga. Rozpierzchła w pierwszéj chwili walki kawalerya narodowa, przyczyniła się do wieści przerażających, jakoby cała armia polska na głowę pobitą została.

Biedna Róża i Agatka już nawet i płakać nie mogły.

Smutek i żałoba były ogólne; gdy oto nadszedł raport naczelnika do narodu z pod Słomnik, o odniesioném zupełném zwycięztwie. Okrzyk radości po całém rozległ się mieście. Wszystko snuło się po ulicach. Jeden drugiemu skwapliwie szczęśliwéj wiadomości udzielał. Ściskali się, całowali. I tacy, którzy dawne do siebie żywili urazy, w téj chwili radosnéj podawali sobie ręce i uścisnęli się jak bracia. Weselił się naród cały.

Różę chwila spólnego uniosła szczęścia. Ale potém i znowu żal trwożny ścisnął serce: czyli Władysław nie padł ofiarą tego zwycięztwa!

I Franek! Agatka krzątała się blada i niema. A gdy zeszły się same, padła jéj panna Róża na szyję — i płakały obiedwie.

Naczelnik stanął o milę od Krakowa pod Basutowem, tam się okopał. Zbierał nowe posiłki i wojsko swoje ćwiczył. Ztamtąd napisał także do starosty Szujskiego, dziedzica Rządowa, z którego wsi byli Świtacki i Głowacki, ażeby o żonach i dzieciach tych poczciwych oficerów pamiętał i stał się ojcem dla nich, dopóki nie powrócą. Pan starosta téż sumiennie téj powinności dokonał.

Co do Franka Zagrzeby wziął pan Władysław obowiązek na siebie. A podjął go z chęcią serdeczną, bo wiemy jak go kochał, i że się sumiennie do téj poczuwał opieki.

Dnia drugiego po nadejściu szczęśliwéj do Krakowa wiadomości, wbiegł nagle Władysław do mieszkania pani Sitowskiéj, dowiedziawszy się, że bawi w Krakowie.

Róża krzyknęła — i o mało że nie zemdlała. Pani Sitowska przystąpiła, ujęła głowę jego oburącz i pocałowała go w czoło.

„O bohaterze mój!“ poszepnęła Róża z uśmiechem na

ustach a ze łzą w oku, gdy jéj rączki całował. „Niech żyje Polska!“ złożyła dłonie, „niech żyje ukochana ojczyzna!“

Opodal w kąciku stała Agatka blada, zasłaniając usta fartuchem. Pytać nie śmiała i nie śmiała ruszyć się z miejsca.

„Agatko!“ zawołał nagle pan Władysław, „i ty tutaj także?“

Dziewucha pokłoniła się i twarz całą fartuchem zakryła.

„Franek!...“ poszepnęła panna Róża z cicha i aż pobladła.

„Franek żyje! Czy jeszcze nie wiecie o tém? Bił się jak lew. Łby moskiewskie kosą swoją zmiatał, gdyby makówki.“

Agatka ani ruszyła się z miejsca, jakby osłupiała i zdrętwiała.

„Głowacki i Świtacki podali go, jako trzeciego do spólnéj chwały. Naczelnik uznał. A ja osiedlę go w Leśno-Woli i przez całe życie, jak Bóg da, już z nim nie rozłączę się nigdy. Uratował mi życie, bo mnie od morderczego zasłonił cięcia, a byłby to mógł własném przypłacić życiem.“

Agatka zadrżała. Róża oczy zacisnęła dłońmi.

„Agatko, i nie pójdzie on już więcéj, bo leży ranny. Dziękuj Bogu, że niezbyt ciężko.“

Dziewczyna na kolana upadła.

Róża pochyliła się nad nią i patrzyła z trwogą w oczy Władysława. Oboje starali się pocieszyć biedaczkę.

Na stronie powiedział Władysław narzeczonéj, że Franek ciężko jest ranny, ale wyjdzie szczęśliwie, bo ma silną i zdrową naturę.

W godzinę potém pożegnał się Władysław. „Muszę spieszyć na powrót“ wymówił. „Przybyłem z poleceniem naczelnika i wracać potrzeba.“

Pożegnali się sercem.

VII.

Siedmnastego Kwietnia, w sam Wielki czwartek, powstała Warszawa. Na czele dzielnego ludu miejskiego stanął szewc Kiliński, mianowany pułkownikiem. Naszych było tylko trzy tysiące, a Moskali aż ośm tysięcy. Lecz po stronie polskiéj biły serca i wola niezłomna, by oswobodzić ojczyznę — sprawiedliwość i odwet krzywd wielkich. I byłoć też Alleluja! prawdziwe — bo nasi co do nogi, w téj insurekcyi wypędzili Moskali. A dowódzca ich generał Igelström, to z niedobitkami swojemi chronił się pod obronę Prusaków, którzy także zajmowali część kraju.

Powstała Litwa i Żmudź. A w Wilnie, waleczny pułkownik Jasiński, mając tylko trzysta żołnierzy, odniósł zwycięztwo nad trzema tysiącami Maskali.

Tymczasem rany Franka podgoiły się o tyle, że go pani Sitowska do Sitowca przewieść kazała. Umieściła go we dworze i staranną otaczała opieką.

Kościuszko wzmacniając ciągle armią swoją, chociaż wiele, bardzo wiele miał przeszkód, trudu, pracy i kłopotu, ciągnął ku Warszawie.

Dnia 6 Czerwca, pod Szczekocinami, otoczyła go połączona armia moskiewska i pruska. Pruskiem wojskiem sam król dowodził. Przemoc była wielka. A bitwa krwawa i mordercza. Kosyniery znowu bili się mężnie. Całe wojsko polskie odznaczało bohaterstwo — ale zbyt przeważnéj sile uledz musieli. Polegli generałowie, Wodzicki i Grochowski. Pod naczelnikiem dwa konie padły. W jednę nogę otrzymał ranę, a w drugą kontuzyą. Sierżant Franciszek Derysarz, żołnierz dzielny i waleczny, gdy mu kula armatnia obiedwie urwała nogi, wołał jeszcze: „Bracia, brońcie ojczyzny! śmiało brońcie, a zwyciężycie!“

Władysławowi kula armatnia lewą nogę strzaskała — i odjęto mu ją zaraz. Pani Sitowska i Róża pojechały po niego i przewiozły go do Sitowca. Gdy się powitali z Frankiem, zapłakali obydwaj.

Kościuszko pociągnął do Warszawy, gdzie wszystko pracowało, by zasłonić miasto przed napadem nieprzyjaciół. Sypano szańce — a brały w tém udział najpierwsze panie, zakonnice, dzieci i starcy.

Nastąpiło oblężenie. Król pruski kazał przeszło tysiąc bomb wrzucić do miasta. Warszawa broniła się przez dni dziesięć. I nieprzyjaciel począł większe jeszcze gromadzić siły.

Po drugiéj stronie nadciągał srogi i okrutny generał Suwarow z liczną bardzo armią. Kościuszko wyszedł na jego spotkanie. 10 Października stanął pod Maciejowicami. Miał zaledwo sześć tysięcy ludzi i armat dwadzieścia. Gdy nagle na wojsko polskie uderzył generał Fersen, mając 20,000 żołnierzy i armat 50. Krwawa, straszliwa bitwa trwała przez dzień cały. Kościuszko był wszędzie i męstwo zagrzewał. Koń padł pod nim i dosiadł drugiego; ten padł znowu, a on trzeciego dosiada, wołając: „Polacy, w imię Boga i Ojczyzny naprzód!“

Ale, niestety, coraz więcéj polskie przerzedzają się szeregi, a posiłki nie nadchodzą. Przemoc się wzmaga — i naczelnik ukochany srogo cięty dwa razy w głowę, prawie na śmierć raniony, upada. Krew bohaterska, krew męczeńska obficie jego białą, krakowską sukmankę zbroczyła. Moskale zemdlonego obskoczyli, pochwycili go i w niewolę zabrali.

Cała Polska jęk bolesny wydała — a z nią i wolność.

Generał Suwarów zajął przedmieście Warszawy, Pragę, w czterdzieści tysięcy wojska — i straszliwą rzeź zrządził... że i natura wzdryga się powtórzyć. W okrutny sposób mordowali niewiasty i pastwili się nad niemi. Dzieci, niemowlęta zatykali na piki i tak je obnosili. Od Warszawy most na Wiśle spalili, więc i uciekać nikt nie mógł. Tysiące ludzi rzucało się w rzekę i tonęło. Przez dni trzy trwały te mordy; zginęło ośmnaście tysięcy ludzi — a z całéj Pragi pozostały tylko zgliszcza i gruzy.

Na Pradze poległ także, odznaczając się męstwem bezprzykładném, generał Jasiński, sławny insurekcyą w Wilnie.

Warszawa patrzyła się na te mordy i pożogę z drugiego brzegu, a ratunku żadnego przesłać nie mogła. Opowiadali, że tam w tym czasie umierali ludzie, jakby zarazą dotknięci, jedynie-li z srogiego żalu — bo każdy miał serce rozpęknięte na dwoje.

Znękana Warszawa poddać się musiała — i wszedł do niéj tryumfalnie Suwarow. Moskale rozgospodarowali się na dobre, jako zwycięzcy — i pany. Wysłali znowu mnóstwo obywateli na Syberyą, a pomiędzy tymi i szewca Kilińskiego, pułkownika.

Króla polskiego, Stanisława Augusta, wywieźli do Grodna, a ztamtąd do Petersburga, gdzie umarł. Polskę rozdzielili ostatecznie i wymazali z narodów. To działo się w r. 1795, w rok po podniesieniu insurekcyi w Warszawie.

Teraz zajrzyjmy do Sitowca. Pan Władysław wyzdrowiał, chociaż biedny o szczudle chodzić musiał. Miał wszelako serdeczne ztąd zadowolenie, że się wysłużył krajowi i tę ofiarę dlań poniósł. Franek niemal całkiem dawniejsze odzyskał zdrowie.

Ślub obudwóch odbył się w jednym i tym samym dniu, w Leśno-wolskim kościołku.

Franek został karbowym, dobrze wynagrodzonym, bo pan Władysław powierzał mu wszystko.

Agatka pierwsza miała synka, którego państwo podawali do chrztu ś. — i dano mu imię Tadeusz, ku pamięci ukochanego naczelnika.

W parę miesięcy potém porodziła pani Róża także synka. Podawała go do chrztu pani Sitowska z Frankiem, i także go imieniem Tadeusza ochrzcono.

Franek z panem Władysławem często sobie rozmawiali o tém, co działo się w kraju, bo pan Władysław pouczał go we wszystkiem.

Wiedział, że ukochanego naczelnika uwolnił następnie car Paweł, gdy po śmierci carycy Katarzyny — największéj nieprzyjaciółki Polski — do rządów przyszedł. Kościuszko udał się do Ameryki, gdzie wielkiego bohatera z tryumfem przyjęto. Potém powrócił i w Szwajcaryi, w mieście Solurze zamieszkał. Zasłynął w całéj okolicy, pomiędzy ludem, z cnót swoich i dobroczynności. Umarł tamże w r. 1817. Ciało jego przewieziono do Krakowa i złożono w pięknym grobowcu, pomiędzy grobami królów polskich.

Na pogrzeb kochanego naczelnika, o mil kilka lud wiejski przybiegł.

Pojechał pan Władysław z żoną i Franka zabrał z sobą.

Dwóch ładnych młodzieńców i śliczna panienka — dzieci państwa Władysławów — towarzyszyli rodzicom. A Frankowi trzech dorodnych parobczaków, istnie podobnych do ojca.

Naród wdzięczny, chcąc na zawsze uczcić pamięć Kościuszki, usypał mu pod Krakowem wysoką mogiłę. Znosili ziemię chłopi, szlachta, książęta, mieszczanie; delikatne rączki pań najpierwszych, niewiasty miejskie, wiochny, dzieci, księża i mniszki. Każdy podążył, by chociaż garstkę dorzucić jedną. Z pod Maciejowic przywieźli krwią bohaterską sfarbowanéj ziemi — jako téż i ze wszystkich stron Polski, na hołd najlepszemu z jéj synów. Bo święty był to rycerz i nikt Polski nie kochał goręcéj. Szlachetnego serca, wielkiéj cnoty i najpiękniejszéj pod słońcem duszy. Czcili go téż Francuzi, Niemcy, Anglicy — wszystkie narody! Lud wiejski całém miłował sercem i o jego dbał dolę. Miał wieś Mereszczowczyznę na Litwie, którą chłopskim rodzinom w puściźnie oddał.

Oby nam pamięć jego wzorem pozostała na zawsze!

(Koniec.)

O PRZEZNACZENIU KOBIET.

III.

Kobiety w sztuce, literaturze i naukach.

Na polu sztuki przebija się talent przyrodzony kobiety wszędzie tam, gdzie chodzi o oddawanie pojedyńczych, zmysłowych, żywych uczuć, wrażeń zewnętrznych i przemiennych sytuacyi. Ztąd też sztuka naśladowania daleko więcéj odpowiada przyrodzonemu talentowi kobiety, niż sztuka tworzenia mianowicie wtenczas, kiedy chodzi o tworzenie większych, w ścisłym z sobą związku stojących postaci. W muzyce nawet, owém najwłaściwszém państwie żywych i zmiennych uczuć, odznaczały się wprawdzie kobiety kilkakrotnie jako wirtuozki, lecz nigdy jeszcze jako kompozytorki w szerszem znaczeniu tego słowa. Malarstwo i w ogóle tak zwane sztuki wyzwolone już nieco więcéj, nawet co do techniki przedstawiają kobiecie trudności. Na tém polu nie mała ilość kobiet pracowała, lecz bez donośnych rezultatów, a jeżeli roboty rzeźbiarskie księżnéj Maryi wyrtembergskiéj budziły zdumienie, to głównie dla tego, iż wychodziły z pod rylca książęcego. Niepośledni wcale talent Angeliki Kaufmann nie zdołał nawet pod egidą względów Goethego, zająć znakomitego pomiędzy mistrzami sztuki malarskiéj miejsca. Portret jest jeszcze może formą sztuki, która talentowi kobiecemu najwięcéj obiecuje powodzenia, ponieważ tu najwięcéj indywidualność i osobistość przeważa. A jednak wątpić można, czy pędzlowi kobiecemu uda się kiedykolwiek nadać rysom głowy głęboki ów wyraz całego, jakby do najgłębszych tajników odsłoniętego [życia duchowego, które podziwiamy na portretach Van Dyk'a, Rembrandta, Delaroche'a, Thorwaldsena, Danneckera i Raucha.

W poezyi liryka i powieść zdają się być na pozór najodpowiedniejszemi duchowi kobiety. Tymczasem w praktyce jest inaczéj. Na polu liryki mało kobiet chlubnie się odznaczyło; z wyjątkiem tylko najdawniejszych poezyi lirycznych, greckiéj Safo. Kobiety w ogóle nie posiadają owéj naiwności uczuć, która wznosi się po nad zwykłe uczucia i nad całém szerokiém kołem wzruszeń, samowładnie panuje. Łatwość właśnie, z jaką kobieta wnika w uczucie, a zarazem przenosi się szybko na inne, spowodowywa uleganie wewnętrznym wrażeniom i brak siły do ich opanowania i do włączenia w większy szereg uczuć. Psycho-

logiczny ten objaw nie dozwoli nigdy kobiecie cieszyć się znakomitém na polu liryki powodzeniem.

Szczęśliwszemi były kobiety pod względem powieści choć i tu w pewnych granicach, które przekroczyć wyjątkowym tylko udało się geniuszom, jak n. p. w nowszych czasach pani Georges Sand, Currer Bell, lady Blessington i innym kilku.

Jeżeli podobne wyjątki pominiemy, to przyznać musimy, że powieści kobiece nie odznaczają się ani prawdziwą siłą i głębokością w przedstawieniu charakterów, ani zdatnością do należytego rozdzielenia treści i ujęcia jéj w całość artystyczną. Gdzie natomiast chodzi o opis pojedyńczych sytuacyi — domowego lub towarzyskiego życia — mianowicie kół dystyngowanych; gdzie chodzi o podniesienie pewnych stron ludzkiego charakteru, mianowicie wrażliwych lub o przedstawienie pewnych form towarzyskich i t. p. tam kobiety są doskonałe a zmysł ich spostrzegawczy i lekka ich ręka odnosi nie rzadko zwycięztwo nad ociężałą gruntownością mężczyzn. Na tém to polu obracały się lubiane powieści Henryety Gonder, Fryderyki Bremer, Flygare Carlen i Żmiechowskiéj. Lecz i w ciaśniejszych tych granicach zdatniejsze nawet z kobiet autorek nie są zupełnie wolne od pewnéj jednostajności i maniery, już to zajmując się z szczególném upodobaniem w opisywaniu rzeczy zewnętrznych, przypadkowych, już to wpadając w przesadę przy kreśleniu charakterów lub uczuć — co ze względów estetycznych zarzucić trzeba licznym a tyle zdumienia wywołującym płodom północno-amerykańskiéj kobiecéj literatury powieściowéj. Są to wszakże błędy i niedostatki, wspólne i wielu powieściom przez mężczyzn pisanym.

W epopei i wyższym dramacie dotąd żadna nie odznaczyła się kobieta; niższemu natomiast dramatowi a mianowicie sztukom konwersacyjnym zdaje się talent kobiecy być zupełnie odpowiednim; wielkiéj przynajmniéj biegłości obok nadzwyczajnéj obfitości nie można odmówić dotychczasowéj reprezentantce tego rodzaju, zmarłéj niedawno pani Brich-Pfeiffer. Jeżeli kobieta odgrywa podrzędną tylko rolę jako twórczyni w sztuce dramatycznéj, to chlubnie natomiast odznaczała się i odznacza niejedna jako reprezentantka, odtwarzająca myśl autora; w tym względzie stoi na równi zupełnie z mężczyznami i to nie tylko w dramacie towarzyskim lecz i w wielkich historycznych dramatach i operach wyższego stylu. Nazwiska takich artystek jak Schroder, Devrient, Mars, Rachel, Modrzejewska i innych z chlubą zapewne wspominane będą obok artystów jak Talma, Żółkowski i im podobni.

W bezprzymusowem traktowaniu przedmiotów, jak n. p. we formie opisów podróży lub w formie listów kreślenie stósunków towarzyskich i charakterów, kobieta znakomite zajmuje w literaturze miejsce a znakomitsze jeszcze dawniéj zajmowała, mianowicie we Francyi i Anglii, gdzie pod wpływem rozwiniętego należycie towarzyskiego życia, więcéj miały sposobności do wszechstronniejszego wykształcenia owych przymiotów, jakich do tego rodzaju piśmiennictwa przedewszystkiem potrzeba. Przymiotami temi są bystrość w spostrzeżeniach, jasność i lekkość w wysłowieniu. Znane są mianowicie w téj mierze listy pani Sévigné, maksymy pani Genlis, uwagi pani Staël nad sztuką i literaturą, opisy podróży i krajów lady Montagne, miss Martineau, miss Trollop i Pamiętniki pani Hoffmann.

Ważniejszemi prawie niż to, co same stworzyły, są usługi, jakie uzdolnione kobiety oddały pośrednio literaturze przez osobiste wpływy, za pomocą których naprowadzały nie rzadko geniusz mężczyzn na drogę twórczéj czynności, wpływając nań w najrozmaitszy sposób. Forma tego wpływu była u rozmaitych ludów rozmaita. We Francyi głównie kobieta wprowadza młodego poetę lub artystę do towarzystwa, pobudza go do twórczości i jedna uznanie w szerszych kołach.

Wpływ jaki umysł i serce uzdolnionych i wykształconych kobiet wywierały na rozbudzenie, wzniesienie się i uszlachetnienie geniuszu poetycznego, był zawsze szeroki, a literatura i ludzkość, na wieki im za to wdzięcznemi pozostaną.

Dla kobiet mniéj nierównie odpowiedniém niż pole twórczéj fantazyi, jest państwo ważącego i badawczego rozumu, czyli pole krytyki. Tam już powodzenia i zasługi pism kobiecych są nader szczupłe. Coby się stało ze sławném a zarazem często zaczepianem dziełem pani Staël, o literaturze i sztuce niemieckiéj, bez jéj uczonego przyjaciela Augusta Wilhelma Schlegla? Co do nauki właściwéj, o ile chodzi o nieprzerwane śledzenie pewnéj idei lub całego szeregu idei, nie posiadają kobiety zdatności oddania się i zagłębienia w jednéj idei, do opanowania różnorodnego przedmiotu za pomocą wielkich, ogólnych punktów widzenia; słowem nie posiadają tego, co nazywamy logiczném myśleniem. Dla tego też nie stworzyły kobiety ani w filozofii, ani w historyi, ani w naukach ścisłych nic coby się szczególnie wyróżniało, coby stanowiło epokę w pewnéj gałęzi nauki. Żaden system filozoficzny, żadne nowe odkrycie na polu techniki, żadne nowe odkrycie w naukach przyrodniczych, żadne ważniejsze dzieło historyczne nie uwieczniło nazwiska kobiety. Zaprzeczyć jednak nie można że się nie rzadko spotyka uczone kobiety.

Uczona żona pewnego wielkiego filologa pomagała mężowi swemu przy wydawaniu greckich klasyków, a pani Dacier swemu mężowi przy tłómaczeniu autorów greckich i łacińskich.

W pewnym rodzaju dzieł historycznych i filozoficznych wyróżniły się korzystnie pojedyńcze kobiety. Uwagi pani Staël nad rewolucyą francuzką jako też filozoficzne jéj myśli o wpływie namiętności na pojedyńczych ludzi i całe narody, zajmują honorowe miejsce obok podobnych prac autorów mężczyzn. Pamiętniki księżny d'Abrantes należą do najlepszych tego rodzaju. Mis Martineau chlubne zajmuje miejsce obok wielkich dziejopisarzy swego narodu. Liczne i trafne idee filozoficzne życia, z obserwacyi własnego jestestwa wzięte, spotykamy w wielu wspomnianych już dziełach pani Sévigné, Genlis, Georges Sand, Blessington i Żmiechowskiéj.

Rodzaj ten filozofii życia, obserwacya stanu duszy ludzkiéj w najbliższych stósunkach domowego, obywatelskiego i towarzyskiego pożycia, wynajdywanie naturalnych reguł i warunków dla życia, oddane w lekkiéj, ujmującéj i prze-

konywającéj formie, owóż to zdaje się być polem naukowego i literackiego zajęcia, jakie kobiety rozumem i uczuciem obdarzone przedewszystkiém uprawiać są zdolne. Moralne ich i czyste uczucie, trafny dar spostrzegania i instynkt wrodzony, z jakim umieją wynaleść zawsze to, co jest stósowném, odpowiedniém i konieczném, są przy tego rodzaju pracach przymiotami, którym zdaje się mężczyzni wyrównać nie są w stanie. (C. d. n.)

NAJWAŻNIEJSZE MOMENTA Z DZIEJÓW ARCHITEKTURY.

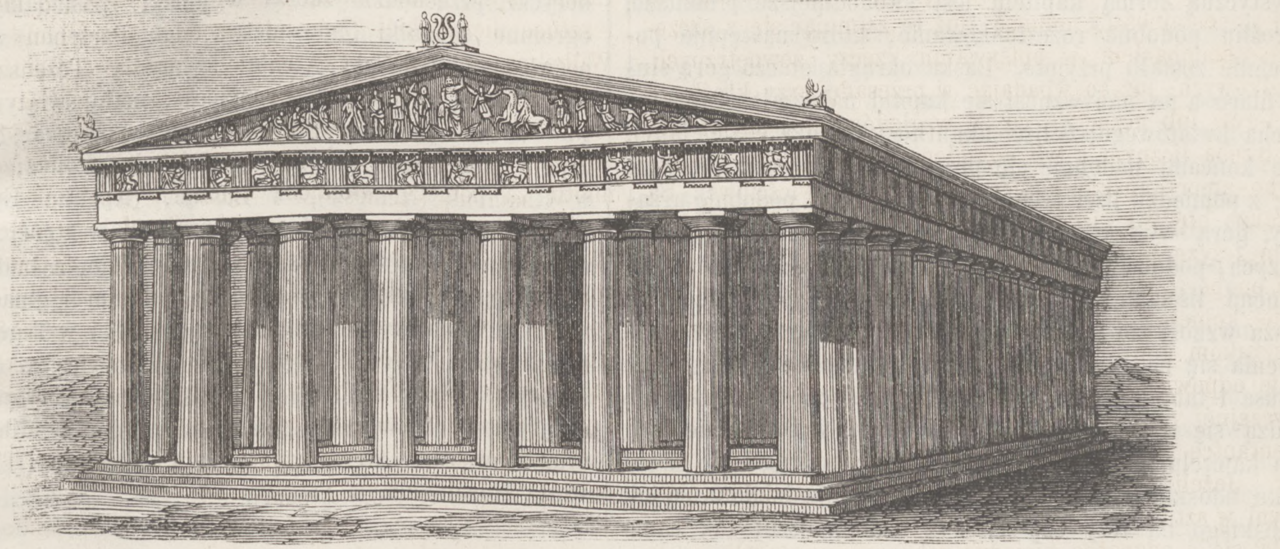
Architektura grecka*).

(Z ryciną.)

(Dokończenie. Patrz Nr. 35.)

b) Styl joński.

Styl ten różni się od powyższego pogodniejszym wyrazem i łagodną miękkością, pojedyńcze części są w stosunkach delikatniejsze, lżejsze, i mniéj surowo od siebie się różniące. Filary, daléj od siebie stojące, mają podstawę, a ta składa się najpierw z czworobocznego płytu (plinthus), na którym leżą osłonki o okrągłéj podstawie. Na tém zaś znajdują się dwa głębokie żłobki (trochilus) i podobna do poduszki wypukłość (torus), na któréj wznosi się słup. Tak zwana podstawa atycka składała się tylko z okrągłych części, ze żłobka jednego i dwóch wypukłości. Żłobkowany słupiec jest u filaru jońskiego lżejszym, smuklejszym niż u doryckiego. Posiada 24 i głębsze, okrągło wyżłobione kanały, które jednak szerszy pomiędzy sobą ścieg pozostawiają. Kanały te kończą się tuż nad podstawą i pod kapitelem w okrągłéj linii, gdzie słupiec nagle się rozszerza. U kapitelu przedstawia echinus laskę jakoby z jaj złożoną a szyja filaru pod nim wązką, niekiedy bywa przyozdobioną z pereł wstęgą. Na echinusie zaś spoczywa wypukłość, która



Parthenon w Atenach.

*) Ażeby czytelnikom ułatwić zrozumienie stylu greckiego, załączamy rycinę Partenonu, który dotąd uważany jest jako wzór sztuki architektonicznéj w Grecyi.

Partenon (Parthenon) zwała się wspaniała świątynia na Akropolis w Atenach, czci Minerwy, pod nazwą Partenos, t. j. Dziewiczéj, poświęcona. Zbudowana w najświetniejszéj epoce Peryklesowéj pod kierunkiem Kallikratessa i Iktinos'a, słusznie uchodzi za arcydzieło i najdoskonalszy wzór budownictwa religijnego u Greków. Jest ona peripterem, t. j. celą czyli domostwem świątyni czworogrannem, otoczonèm kolumnadą po wszystkich czterech jéj bokach. Przedsionki przodkowy i tylny, wspiera po ośm słupów doryckich, dwa zaś dłuższe równoległoboki, (nieliczące narożnych słupów frontowych) po piętnaście słupów. Długość wynosi 227 st., szerekość 101 st. W głębi celi, stała na wyniesieniu kolosalna statua bogini, wyrobiona ze złota i kości słoniowéj przez najsławniejszego Grecyi rzeźbiarza Fidijasza. W jednéj z komnat tylnych, mieścił się skarb państwa Ateńskiego. Pola frontonów zdobiły kolosalne grupy marmurowe, wykonane pod okiem Fidijasza, a przedstawiające narodziny Minerwy i zwycięstwo tejże nad Neptunem. Fryz obejmował w wypukło-rzeźbie pochód w czasie wielkich panatenejów, metopy zaś sceny z walk gigantów i centaurów. Partenon przemieniony w kościół chrześciański, wcale dobrze przechowywał się w wiekach średnich, dopóki go w części nieponiszczyła bomba Wenecka, przy oblężeniu Aten w roku 1687 na miasto puszczona. Mimo to i dzisiaj jeszcze jest on zachwycającéj prostotą piękności, mianowicie od kiedy teraźniejszy rząd Grecki wziął na siebie restauracyę jego i wielką liczbę zwalonych podźwignął słupów. (Przyp. Redakcyi.)

ku obu stronom daleko wybiegając, rozszerza się z owemi wydrążonemi kanałami na ślimaki, te zaś ściągając się spiralnie, kończą się okiem, niekiedy rozetą zapełnioném. Na bocznéj stronie kapitelu przednia i tylna część wypukłości połączona jest wstęgą nakształt przepaski lub skręconego sznurka. Architraw, mniéj wysoki od doryckiego, składa się z trzech po sobie następujących i nieco występujących części, które niekiedy połączone są delikatnemi sznurami pereł. Fryz niema doryckiego podziału na triglyfy; niema żadnego rozczłonkowania i dla tego więcéj się na nim zmieścić może rzeźby. Kornes składa się głównie z wystającéj płyty; trójkąt szczytowy jest wyższy niż u świątyń doryckich. Ponieważ u świątyń stylu jońskiego przeważa rzeźba, przeto malatura schodzi na plan drugi.

c) Styl koryntski.

Styl ten wyrodził się z mięszaniny doryckiego i jońskiego. Kształt słupca i podstawy wyższego i smuklejszego filaru przejęty jest w ogóle z jońskiego, tylko że podstawa zaopatrzona jest w ozdoby a u słupca odstępy pomiędzy 24 żłobkami są większe. Przedewszystkiem jednak charakterystyczną formą kapitelu jest swobodniejsze i obfitsze, do roślin podobne rozczłonkowanie, które następnie powszechnie zostało przyjęte. Laska okrągła otacza górą słupiec filaru a na niéj wznosi się kapitel nakształt otwartego kielicha kwiatowego; 8 liści akanthusu (niedźwiedziéj łapy), które końcami nadobnie się przechylając, tworzą pierwsze koło; z pomiędzy liści tych wznosi się drugi, podobnie urządzony, górą wyższy szereg liści. Z pomiędzy dwóch liści wyższych, podnosi się łodyga kwiatowa, która otoczona delikatnemi liściami u góry rozdziela się na dwie łodygi: słabsza wznosi się ku środkowi abakusu, podczas gdy druga zamienia się na silną wolutę, która podnosi się ku stronie abakusa i tam nakształt ślimaka się zakrąża. W ten sposób schodzą się w narożnikach zawsze dwie woluty sąsiednich stron kapitelu, przez co przejście z formy okrągłéj do czworoboku udoskonala się. Belki architrawu podzielone są jak u jońskiego na trzy części, lecz ozdobniejsze; tak samo fryz z gładką powierzchnią, przeznaczony jest na rzeźby. Gzyms wyróżnia się jeszcze konsolami. Malatur oszczędniéj jeszcze używano niż u form jońskich.

Najznakomitsze gmachy z rozmaitych epok architektury greckiéj, z których niektóre przetrwały aż do naszych czasów, świadczą, że w 2 epoce przeważał styl dorycki, w 3 zaś joński a późniéj koryntski. W pierwszéj epoce były sławnemi; wybudowana około połowy VI wieku świątynia Hery na wyspie Samos, z któréj kilka tylko jeszcze znajduje się szczątków; świątynia Artemizy w Efezie, najkolosalniejsza ze wszystkich świątyń greckich i przez Herostrata spalona; świątynia Apolina w Delfach i świątynia Jowisza w Atenach. Najstarożytniejsze z zachowanych dotąd pomników, znajdują się na wyspie Sycylii i we Włoszech południowych; pod samym Selinusem i Agrygentem znajdują się szczątki kilku świątyń; we Włoszech południowych są ruiny pod Paestum (świątynia Poseidona) najznaczniejszemi. W Grecyi właściwéj mało przechowało się pamiątek; najwięcéj znanemi są: świątynia w Koryncie, zapewne Palladzie poświęcona; świątynia Pallady na wyspie Eginie i świątynia Nemesis w Rhamus. Z epokiéj drugiéj, w któréj styl dorycki przechodzić zaczął w joński, posiadamy również ogromne pomniki budownictwa, jak Partenon w Atenach poświęcony Palladzie Atenie; świątynią Tezeusza w Atenach, bramę przepyszną Propyleów; małą świątynię bogini Nike apteros (bezskrzydłowéj bogini zwycięztwa; Erechteum czyli Pandroseion, świątynię Pallady Polias, świątynię w Rhamnus (Nemesis), w Bassae, (Apolina Epikuriosa), w Olympii (Jowisza). Z trzeciéj epoki, w któréj styl dorycki w zupełne prawie poszedł zapomnienie, a budowa świątyń ustępuje miejsca pałacom, pomnikom i gmachom prywatnym, pochodzą: świątynia Atheny Alei w Tegei, świątynia Jowisza w Nemei, zewnętrzne Propylce w Eleusidzie, świątynia Diany w Eleusidzie, świątynia Cerery w Paestum, świątynia Ateny w Priene, świątynia Apolina w Milecie, świątynia Jowisza w Atenach, pomnik Lysikratesa i Thrasyllosa, wieża Horologium w Atenach.

DZIECIĘ Z KWIATAMI.

Pod obrazem Tytusa Maleszewskiego*).

Ty się pieścisz promienny aniele,
Uśmiechnięta dziecino — z kwiatami.
Baw się niemi! Nim los ci rozściele
Łzy i ciernie pod twemi stopami.

Tęskny patrzę w twe oczki śmiejące,
W lica twoje jak krasny kwiat róży.
W oczach widzę i błękit i słońce,
Lic rumianych mgła troski nie chmurzy!

Baw się dziecię, o baw się pieszczone!...
Kiedyś z objęć wyrwane od matki,
Tęsknym wzrokiem powiedziesz w tę stronę,
Gdzie błyszczało słoneczko i kwiatki!

Wł. Bełza.

---

*) Dochód ze sprzedaży obrazu tego przeznaczył artysta w połowie na budowę teatru poznańskiego a w połowie na emigracyę. (Przyp. Red.)

Gry hazardowne, loterye, giełda i spekulacye giełdowe.

„Zaprzeczyć nikt nie może, że giełda w naszych czasach stała się potęgą pierwszego rzędu."

Rodbertus.

Z początkiem roku przyszłego znane piekło gry w Wisbaden skończy swój żywot. Jak dotąd byli gracze, tak i nadal będą zapewne, bo zawsze byli, są i będą ludzie, którzy bez pracy i trudu, bez potu i mozołu zechcą się bogacić, powierzając swoje szczęście, swój los ślepemu trafowi, fortuną zwanemu. Złe i dobre w każdym kierunku było i będzie, i ani moralne kazania, ani prawa choćby najrozumniejsze nie poprawią wszystkich.

Sumienie publiczne poprawiło się jednak, skoro ogół protegowaną grę przez państwo, opinią potępienia karze. Mniejsza z tém, że po kątach pozostanie znaczna liczba próżniaków i marnotrawników, którzy w grze szukać będą rozrywki, zabawy, przyjemności i bogactwa; wielka już i tak jest wygrana, kiedy zgraja wykwintnych łotrów obdzierających ludzi, z pod opieki prawa wyjętą zostanie.

* * *

Wstąpmy na chwilkę do téj jamy, do tego piekła gry i przypatrzmy się mu z bliska.

Wisbaden miasto leży w cudnie pięknéj okolicy, która wabi do siebie i w któréj żyjąc schorzały już część zdrowia odzyskać może, gdyż powietrze miłe, łagodny klimat znaczny wpływ na zdrowie wywierają.

Już za Rzymianów, kiedy jeszcze nad światem panowali, były znane ciepłe źródła Wisbadenu, a kąpiele tam od dawnych czasów są urządzone. Rozumie się téż, że od dawnych czasów do Wisbadenu nie tylko rzeczywiście chorzy jeździli, by tam szukać ulgi i zdrowia; ale i znaczna ilość próżniaków zdrowych zupełnie i awanturników tamże się zbiegała, którzy nie mając rzeczywistych kłopotów, nie cierpiąc fizycznie, starali się o to żeby czémś zabić czas.

Od wielu lat jeżdżenie zdrowych do wód stało się modą potężną, tak że dziś nie ulegać jéj, znaczy prawie tyle, co nie znać dobrego tonu albo być biednym.

Oto jesteśmy w ogromnym, przepysznym, prawdziwie królewskim salonie. Stoły rozstawione wszędzie, przy których odbywa się szalona gra we faraona, w roletę i t. p. Wszędzie na stołach znajdują się kupy złota, bo tu na srebro i papier się nie gra.

Przeciśnijmy się przez stojące w około stolików i stołów gęste tłumy grających lub przypatrujących się. Spojrzcie! Tam oto stoi młodzieniec, którego piękne rysy twarzy szpeci jakieś konwulsyjne drganie muszkułów, którego oczy gorączkowo śledzą za każdym ruchem bankiera, i który nagle zbladł, bo spostrzegł że krupie czyli sługa bankiera, zgarnął urządzonem do tego zgrzebłem, złoto przed nim leżące.

Chwiejnym krokiem ów młodzieniec oddalił się od stołu i w sekundę potém rozległ się huk wystrzału. Tłumy biegną na miejsce wystrzału i widzą młodzieńca leżącego we krwi z czaszką strzaskaną. Gra przerywa się, ale tylko na moment; wszakże to nie pierwszy przypadek tego rodzaju, nie ma się więc czego przerażać. Goście przywykli do takich nic nie znaczących przypadków; nikt nie pyta się nawet o szczegóły, nikt nie dba o nieszczęśliwą ofiarę. Służba tylko, zdaje się wprawna i wyćwiczona, jak żołnierze przy wojennych ambulansach, czém prędzéj wynosi trupa, uprząta ślady krwi i wszystko się skończyło.

My jednak, nie zaangażowani w grze, wychódźmy z téj jamy rozbójników, gdzie jeszcze inne sceny rozpaczy, napady spmazmowe, ataki paralityczne i t. p. naszém oczom się przedstawiają; gdzie płeć piękna nie raz się ubiega o lepsze z niepiękną w pozyskaniu względów fortuny i gdzie się na twarzach i oczach maluje szpecąca namiętność, świadcząca o tém, że ludzie jeszcze nie bardzo się oddalili od przodków ludzkiego rodu których Darwin wskazuje.

A czy wiecie historyę owego młodzieńca? Krótka ona lecz okropna.

Był to jedyny syn biednéj wdowy, która miała nadzieję że on stanie się podporą jéj starości. Kasyer bogatego handlowego domu, znaczne miał] powierzone sobie sumy i do chwili, w któréj go spostrzegliśmy u zielonego stołu, najmniejszym czynem nie sprzeniewierzył się swemu pryncypałowi, niczém nie splamił swego honoru i sumienia.

Przejeżdżając przez Wisbaden w ważnym interesie swego domu, nie mógł oprzeć się pokusie wstąpienia do sali gry, w któréj go spostrzegliśmy w chwili, kiedy nie tylko już własny fundusz, ale znaczną część powierzonéj mu sumy był przegrał. Kupka złota, którą krupie w naszéj obecności zgarnął, była resztka sumy, powierzonéj młodzieńcowi. Nieszczęśliwy! stawił honor, życie, szczęście swéj matki — i wszystko przegrał, a wygrywający, ani jednem spojrzeniem nawet nie okazał współudziału dla ofiary.

Cóż jemu do tego? Wszak on płaci znaczną dzierżawę W. księciu, który jakby nie wiedział, że to nie pieniądze, ale łzy, honor, sumienie i życie ludzi — że te kupy złota, które pobierał, były skrapiane krwią ludzką.

Bardzo by się ten omylił, ktoby sądził, że przytoczony wypadek należy do wyjątkowych, Nic! bez przesady możnaby powiedzieć, że ich się dziesięć co rok zdarza i one są tak zwyczajne, że już prawie nikogo nie rażą, że mało kto, chyba tylko nowicyusz uwagę swoją na nie zwróci.

Namiętność przytępia w człowieku uczucie. Współczucie jest tylko przymiotem ludzi nienamiętnych i nieprzyzwyczajonych patrzeć na zbrodnie.

Sceny podobne do poprzednio opisanych, nie tylko w Wisbaden, ale i w Homburgu każdego roku się działy, a hr. Landgraf Hessen-Homburski z gier tamże odbywających się ogromny zbił majątek. Z tego tak zwanego banku gry, ten tuzinkowy monarcha stał się najbogatszym może człowiekiem w Europie.

Dopiero od niedawnego czasu Niemcy postanowili zamknąć na zawsze te jamy rozbójników, obdzierających ludzi

pod opieką rządów. W Paryżu to miało już dawno miejsce, bo zamknięto je 1 Styczniu 1838 roku, kiedy naród jeszcze nie był zdemoralizowany.

Tu mi jeszcze dodać należy, że ówczesny rząd francuski, dziecko rewolucyi 1830 roku, w chwili kasowania domów gry, był bardzo w krytycznem położeniu finansowem. Dzierżawcy tych domów po roku 1838 przenieśli się do wód niemieckich i tu plądrowali bez litości po kieszeniach wszystkich, chcących bez pracy stać się bogatymi.

Nazywano i dotąd nazywają namiętność gry „une noble passion!“ Gdyby jednakże zechciał kto zrobić w naszém księstwie obrachunek straconych majątków w Homburgach i Wisbadenach, straconego honoru i sumienia, obrachunek ubytku kapitałów odgrywających w naszych narodowych stosunkach tak ważną rolę, owa „noble passion“ w innem przedstawiłaby się świetle.

Przypatrzmy się teraz innym rodzajom gonienia za szczęściem, za bogactwem bez pracy, bez zasługi. Mam na myśli zwyczajne, tak zwane „klasyczne“ loterye, bo ustępy czasu w których się one odbywają, nazywają się klasami.

Loterya nie mniéj sprzeciwia się moralności jak gra hazardowna, chociaż nie bywa przyczyną scen wyżéj opisanych. Mianowicie téż grający w loteryę rządową mniéj często bywa oszukanym, niżeli to ma miejsce w loteryach prywatnych. Zawsze potępiać należy i te loterye, gdyż częstemi ciągnieniami utrzymują umysły ludzi słabego charakteru w stanie gorączkowego rozdrażnienia.

Tak zwana loterya liczbowa, która jeszcze w Bawaryi jako instytucya rządowa istnieje, jest najgorszym rodzajem loteryi, gdyż małe stawki właśnie biednych do gry pobudzają, mianowicie sługi i czeladź rzemieślniczą, w których chęć do grania w loteryę nieraz do szaleństwa dochodzi. Ten rodzaj loteryi jest oparty na rachunku prawdopodobieństwa, w następującym stosunku. Przy nieoznaczoném ciągnieniu wygrywający dostaje 15 razy stawkę; lecz on powinienby podług wskazanego sposobu rachowania 18 razy stawkę wygrywać, gdyż prawdopodobnie jeden oznaczony numer na pięć się wyciągnie (przy ogólnéj liczbie 90 numerów). Stosunek jest zatém jak 1: 18. Rząd zyskuje więc 20 procent.

Przy oznaczoném ciągnieniu zysk rządu jest jeszcze znaczniejszy, mianowicie przy tak zwanych ambach $60\frac{1}{2}$ procent, przy ternach $144\frac{3}{4}$ procentu, przy kwaternach $751\frac{3}{4}$ procentu.

Loterye tak zwane rządowe, czyli przez rząd gwarantowane w Hamburgu i Frankfurcie nad Menem są czysto na naiwność prostaczków obrachowanym sposobem, ażeby mało prawdopodobną szansą pojedyńczych, zbogacić jednego.

Te prywatne loterye opłacają znaczny podatek; dodajmy do tego koszta administracyi, ogłoszeń licznych gazet, zyski przesiębiorców i ich agentów, tak zwanych kolektorów, a będziemy mieli wyobrażenie o stratach, jakie w ogóle grająca publiczność w tych zwykle szumnie ogłaszanych publicznych szulerniach, ponosi.

Że loterya na biżuterye i tym podobne przedmioty, są najawniejszem oszukaństwem, nie ulega wątpliwości, gdyż korzyść ich zwykle jest imaginacyjna.

W Warszawie w roku 1857 urządzona loterya biżuteryi, wzbogaciła tylko entreprenera Jakubowskiego, delegowanego rządu barona Mendena i ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, oraz wszechwładnego w owym czasie Muchanowa. Przedmiot mający realną wartość 50 rubli, był oszacowany 500 i więcéj rubli. Też same osoby miliony zyskały na puszczenie w loteryę dóbr Szymanowskich, które dziwnym zbiegiem rzeczy, po największéj części dostały się w ręce tych samych osób i ich klientów lub pomocników. Tak przynajmniéj głosiła Fama, a pod rosyjskim rządem na pewno przypuszczać można, że vox populi, vox Dei.

Za wyjątek jedyny z pomiędzy loteryi, postawić można loterye w celach dobroczynnych, gdyż przegrywający ma przynajmniéj to zadowolnienie, iż strata jego na cel pożyteczny użytą została.

Rzućmy te uprzywilejowane szulernie i przypatrzmy się teraz wszechwładnéj pani świata — giełdzie.

(C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

O tém i o owém.

(Dokończenie.)

Rzućmy okiem na przeszłość niedawno minioną, bo tylko tym sposobem będziemy w stanie ocenić wszystkie zdobycze naszego czasu.

Sześćdziesiąt lat tylko minęło, kiedy pierwszy parowiec został zbudowany, i przez ówczesną prasę w Anglii i Ameryce — wyśmiany. Jednak jednego pięknego dnia wesoło i śmiało wypłynął on z portu i uwierzono, że jazda na morzu za pomocą pary jest możliwą. Żeby zaś na parowcu można było z Europy do Ameryki przejechać, to jeszcze o wiele późniéj uważano za obłąkanie, za waryactwo.

Późniéj jazda za pomocą pary od miasta do miasta przez wszystkich wykształconych ludzi była uważana za czystą niemożliwość, a geniusz, który się ofiarował eksperymentem udowodnić, że na ogromną odległość z Berlina do — Poczdamu można pisać za pomocą iskry elektrycznéj, najuroczyściéj był wyśmiany i w opinii uważany za kandydata do domu obłąkanych. Dziś wszyscy wierzą w większe cuda, bo widzą jak prawie co roku, nauka jakiś nowy cud tworzy, i rzeczy uznane dotąd za niemożliwe, z całą jéj tylko właściwą ścisłością udowadnia.

Czyż samo wybudowanie wielkiéj żelaznéj kolei „Pacific“ w przeciągu trzech lat nie jest cudem? Wszakże wiemy ile to czasu u nas w Europie kosztuje zbudowanie kolei 6, 10 lub 18 mil długiéj. Przed naszemi oczami budującą się

kolej do Gniezna zaczęta już w przeszłym roku a dziś jeszcze nie skończona, ile potrzebowała napisania różnych próśb, przedstawień, konsensów, pozwoleń ze strony państwa i policyi? Kupy akt dotyczących się kolei u nas w Europie, wystarczyłyby do zrobienia papierowego dachu nad całą koleją. W Ameryce pewien przedsiębiorca umówił się z kilkoma, połączył się z nimi, zbudował wszystko i dał światu 600 mil żelaznéj kolei, nie zapisawszy może jednego arkusza papieru.

Albo czyż to nie cud, że przed kilku laty jeszcze do podróży z Europy do Kalifornii potrzeba było sześć miesięcy czasu, kiedy teraz tę podróż, z wszelkiemi wygodami w przeciągu dwóch tygodni odbyć można!

Czyż to nie cud, kiedy widzimy olbrzymi materyał téj kolei, który się składa z 400 lokomotyw, 2000 wagonów do transportowania towarów, a prawie tyleż eleganckich wagonów dla pasażerów. Wagony te raczéj są salonami, jak te w których u nas podróżują wielkości świata, nie zaś takie w jakich w Europie podróżuje zwykle publiczność.

I patrzcie, nowy się stał cud! Chińczycy i Japończycy, dla których dotąd styczność z innemi narodami była śmiertelnym grzechem, którzy żyli tysiące lat w odosobnieniu, kontentując się swoją odwieczną cywilizacyą; Chińczycy i Japończycy zaczynają się poruszać, mięszać się z innemi narodami, emigrować do innych krajów, pracować wespół z innymi nad rozwojem ludzkiego ducha. We Frysce, jest część miasta wyłącznie przez Chińczyków zamieszkała i nie dawno temu na mintyngu w tém mieście dwóch synów niebieskiego państwa wystąpiło z politycznemi mowami.

Stósunki między narodami z dniem każdym stają się ściślejsze, kiedy dawniéj zaledwie dwa porty chińskie były przystępne dla europejczyków, dziś ich pięć stoi dla nich otworem, w Szangaj, w którym się robią roczne obroty na 600 milionów talarów, prawie wygląda jak angielskie miasto. Tak samo jak Chiny, a może jeszcze energiczniéj postępuje państwo wysp, Japonia ta azyjatycka Anglia, wysyła ona rok rocznie co najznakomitszego urodzeniem dla nauki na europejskie uniwersytety.

Ośmnaście lat dopiero upłynęło, kiedy armaty amerykańskiego Commodona Perry ogromny wyłom zrobiły w ustawach tego teokratyczno-feodalnego cesarstwa, a już widzimy wielki ruch w pośród jego 30 milionowéj inteligentnéj ludności.

Nowe idee wciskają się zewsząd do dwóch starych cesarstw Azyi; duch nowy wstępuje w przestarzałe ciało i robi z nich współczynników ogólnie ludzkiéj cywilizacyi.

Na koniec jeszcze wspomnieć muszę o Australii, o części ziemi, która do 1858 roku przez wszystkich europejczyków była uważaną za miejsce wygnania zbrodniarzy, za ziemię nędzy moralnéj i intelektualnéj, za angielską Syberyę. Wszakże o téj części świata nieomal mniéj wiedzieliśmy, niżeli o księżycu, bo zaledwie część brzegów była znaną, a środek — tak o środku Australii, jak o środku Afryki prawiono smalone duby. Wiek niewiadomości skończył się. Australia w znacznéj części już jest zbadana, a to od czasu, od którego przestała być kolonią karną, mieszkaniem zbrodniarzy, więzieniem angielskiem.

Jak Kalifornia tak i Austryalia z początku masę awanturników złotem wabiła do siebie, które tam zostało odkryte nie głęboko w ziemi. W roku 1868 wykopano na głównéj wyspie Nowéj Holandyi za 100 milionów talarów, a na Nowéj Zelandyi 200,000 uncyi, co razem z poprzednią sumą wynosi 3009 milionów talarów. Kalifornia do roku 1868 tylko dała za 120,000 milionów talarów złota! To bajecznie kolosalne liczby. Sądzono że wartość złota spadnie, lecz pokazało się że francuskie przysłowie „jedząc przychodzi apetyt“ zawiera prawdę; masy złota gdzieś się podziały i znikły i złoto jak było tak jest w wysokiéj cenie.

A jednak się omyliłem; nie znikły one kupy złota, poszły zasilić przemysł, służyły do wykonania olbrzymich dzieł, które dotąd opisałem i jeszcze na długi czas użyźniać będą przemysł i handel całego świata.

Ciekawe też są niektóre cyfry dotyczące się Australii, Tasmanii i Nowéj Zelandyi których ludność obecnie wynosi blisko 2 mil. Nie wielka ta liczba ludności posiada 152 milionów owiec i rogatego bydła. W r. 1868 służyło mieszkańcom 6298 okrętów, które przywiozły za 28,628,968 funtów szterlingów towarów, a zabrały z sobą za 30,403,548 funt. szter. listów do Australii i z niéj było w tymże roku 27,000,000.

Kończąc niniejszą mą pracę muszę jeszcze wspomnieć o jednym ważnym fakcie, który przynosi zaszczyt angielskiemu rządowi i świadczy o politycznéj dojrzałości Australczyków. Przed kilku laty rząd angielski proponował Australczykom, żeby sobie nadali osobny, samodzielny rząd niezawisły od angielskiego, a Australczycy, którym widać dobrze jest z obecnym rządem, nie przyjęli ofiarowanéj sobie niezawisłości.

Ach! gdyby pewne rządy tę samą próbę z nami zrobiły! Cobyśmy odpowiedzieli, każdy z Was czytelnicy wie dobrze.

*
* * *
*

Luźne kartki ze wspomnień powstańczych.

Walenty Parczewski.

Drogi Cieniu! Skromność twoja i krótki bieg życia dają wrażenie spadającéj gwiazdy — dają wrażenie tego szmeru, téj harmonii nocy letniéj... w któréj tajemnicze głosy natury wyśpiewują hajnał świtaniu...

Tyś świtu nie doczekał! spadła gwiazda przed dniem... i został grób... Przyklękamy przed tym grobem... prosząc Cię o pobłażliwość dla wspomnień krwawéj pracy... a nie doczekanego plonu!...

Luźne te kartki są zapiskami nie historycznemi, bo te, kompetentniejsze już wypowiedziało słowo, lecz rodzinnych

pamiątek... wysnutych z wspomnień żałoby — i niech się staną słabym wyrazem pomnika ku pamięci tych, których kości po pobojowiskach rozsiane!

(Dziennik Poznański.)

Piszą nam z Łęczyckiego: „Jak zazwyczaj tak i tą razą późno nadeszła do nas wiadomość z zagranicy o przedwczesnym zgonie ś. p. Walentego Parczewskiego. Głębokim żalem przejęty, jako świadek żywych czynów jego, chwytam za pióro, nie wątpiąc, że już ktoś wymowniejszém uprzedził mnie słowem, ażeby na mogile kolegi i majora polskiego z r. 1863 złożyć choć skromny liść wawrzynu.

Ś. p. Walenty Parczewski, syn znanéj w obywatelstwie familii, urodzony w W. Ks. Poznańskiem przy głęboko religijném usposobieniu ducha, jakie z domowego wyniósł wychowania, uczucie honoru i sprawy ojczystéj na pierwszym w swém życiu kładł planie — każda téż ważniejsza okoliczność zastawała go gotowym do czynu miłości i ofiary. Charakter jego szlachetny i łagodny, serce wylane koleżeńskie, umysł bystry, łatwy i dowcipny, uczucie wycieniowane delikatnością; towarzyskość gładka, jednały mu przyjaciół serca i sympatycznych zwolenników. Znaliśmy go dobrze, i znamy! bo poznanie ludzi jak on, nie łatwo się zaciera, tém mniéj, im większym staje się ich ubytek.

Do was towarzysze broni ś. p. Walentego, coście byli świadkami ze mną jego męztwa w ostatniém powstaniu przeciw Moskwie, do was współtowarzysze tęsknot jego — i do ciebie ty ziemio ojczysta! odwołuję się, jak czystą i szczęśliwą śród najtrudniejszych okoliczności wychodziła że tak powiem, szlachetna postać, zasłaniająca swą piersią rany Polski!

Cześć Ci szlachetny! Złączyłeś się z zastępem tych dzielnych, co za Oczyznę ponieśli życie w ofierze! Cześć pamięci Twojéj.“

Walenty Parczewski, bawiąc chwilowo w Warszawie, na dniu 13. Lutego 1863 dostał następujący rozkaz:

„Komitet Centralny jako tymczasowy Rząd Narodowy.“

„Obywatel Walenty Parczewski, były oficer*), uda się bezzwłocznie do oddziału, który po zaszczytnéj bitwie pod Wągrowem, przeszedłszy Bug, przez Siemiatycze posuwa się na Litwę.

Głównie dowodzący zebranemi tam siłami narodowemi, raczy pod swemi rozkazami W. Parczewskiego zatrzymać, i poruczyć Mu dowództwo stosownego oddziału.“

Dnia 13 Lutego 1863. Nr. 6106.

Jakoż nazajutrz, to jest 14 Lutego, był już w drodze ku Litwie, a stanąwszy rychło w naznaczoném miejscu, śród nieprzejrzanych lasów i puszcz pokrytych śniegiem, znalazł oddział ze stukilkudziesięciu ludzi, na pół nagich, bezbronnych, głodnych, przeważnie z klasy rzemieślniczéj złożony. Przy tak trudnych okolicznościach, bystry i zabiegliwy umysł jego nie tracąc chwili czasu, zajął się organizacyą powierzonego sobie oddziału, ucząc mustry choć na kije, a zręcznemi zasadzkami lub podjazdami zdobywając na Moskwie broń i żywność. Powodzenie w zdobyciu broni szło pomyślnie — bo w krótkim bardzo czasie cały oddział w nią zaopatrzonym został. Ale z żywnością było inaczéj — a kiedy zdobytych na furgonach moskiewskich trochę chléba i tłuszczu podejrzanéj czystości dogryzali z kartoflami pieczonemi, bez soli, (stanowiących jedyny przez dwa miesiące pokarm), uczta zdawała się prawdziwie lukullusową!

Przy tak uciążliwéj kampanii, albo raczéj mordowaniu się wśród śniegu, głodu i wroga — Walenty Parczewski, w jednéj z zasadzek pchnięty został bagnetem w bok lewy — któren zsuwając się po kościach, zadał nie tyle na razie groźną, co w następstwach niebezpieczną ranę. Krew broczyła pierś i śnieg. On walczył na czele swoich! w małych lecz wszędzie z najszczęśliwszém powodzeniem przeprowadzanych utarczkach. Wycieńczonego niewygodami i trudem, osłabionego krwi upływem, wierni żołnierze nosili na płaszczach z miejsca na miejsce, (bo już o swojéj mocy późniéj iść niemógł) prosząc ze łzami żeby ich nieopuszczał — aż po kilkunastu dniach, kiedy rana zaczęła się zaogniać, krwiotoki ponawiać i gorączka wzmagać, trzeba było z żalem poddać się radzie doktorowi, któren nieporęczał za życie, gdyby stan taki potrwał dłużéj — i opuścić obóz litewski, zaoszczędzając sił resztę na dłuższą służbę ojczyźnie.

Krętemi drogami, w chłopskiem ubraniu, po kilkakroć przytrzymywany przez patrole i liczne straże wrogie, którym się zręcznie wykręcał, a którym nietrzeba było jak odsłonić kożuszek, ażeby dojrzeć legitymującą się krew oschłą... Przybył do Wilna, do wskazanego mu domu, gdzie zastał liczne zebranie, złożone z samych kobiet czarno ubranych...

Odetchnął! krew oschła na piersi jego, z czarnym kolorem szat niewiast, porozumiały się snadno — były symbolem wspólnéj ofiary... Brat stanął obok sióstr!... i poczęto dzielić się medalami orła i pogoni.

Byli to męczennicy katakumb wileńskich, obdzielający się chlebem narodowéj jedności i siły... Czy przetrwa wieki, i zwycięży ona? Wiara nam pokaże.

W Wileńskim grodzie, Parczewski niemógł długo bawić, osobistość jego przy kuracyi potrzebującéj wielkiéj pieczy, mogła była być co moment zagrożoną, wyjechał téż na wieś do krewnych mieszkających w okolicy Grodna, gdzie wzmógł się do tyla znowu, że posłyszawszy o organizującym się pułku narodowym w kaliskiem, wrócił w strony swoje, ażeby znowu czynne zająć stanowisko.

Niebawem powierzono mu formowanie oddziału kawaleryi w Łęczyckiém, a pola Podębie, Wilamowa, Uniejowa, Lichawy, Kter, Walewic, Woli-Cyrusowéj, Czepowa i tylu innych, zapisały go na dacie dziejowéj. Ktoś nam mówił, że chłopcy w Łęczyckiem, śród nocy miesięcznéj i ciszy, widują Parczewskiego do téj chwili, jak hufiec swój zbrojny formuje i uderza na wroga. Zaprawdę, ta apoteoza prostych serc i prostéj szczeréj wiary, jest mu piękną nagrodą.

W kilka dni po przybyciu w Kaliskie, kiedy formujący się świeżo oddział jego, nie więcéj jak sześciu liczył ludzi, świetny i odważny zrobił atak na miasto Łódź, siedzibę Niemców fabrykantów, z załogą moskiewską 10,000 żołnierza liczącą, a zniosłszy warty za miastem stojące,

*) Jako poddany rządu pruskiego, musiał odbyć jednoroczną służbę w wojsku pruskiém.

dotarł do samego Rynku, gdzie dał ognia do szyldwachu przed ratuszem, w chwili kiedy komenderujący załogą jen. Bremsem, siedząc na balkonie swéj kwatery w Rynku, spokojnie „Czaj“ zapijał. Onieprzytomniali Moskale i Niemcy, tak nagłym i nigdy nieoczekiwanym atakiem, potracili głowy, a przewidując, że na 10,000 liczbę wojska załogującego, nie mniéj jak 15,000 Polaków być musi za miastem, uderzyli w bębny na alarm, i kiedy wojsko, w szyku bojowym wyruszyło z koszar, garstka zuchwałych, położywszy po drodze co się dało wroga, jak grom spadłszy, znikła.

Odtąd generał Bremsen życzył sobie tylko „z Chrabnym Parczewskim“ się spotkać, a nie mogąc znaleść go nigdzie, umyślił pomścić się na bracie jego stryjecznym, niszcząc mu wieś i długo niewinnie męcząc więzieniem.

Jak na Litwie, tak i w Łęczyckiem uorganizowanie szwadronu jazdy szło Parczewskiemu łatwo, w każdéj okoliczności była to szczęśliwie działająca postać, bo przewodniczyły jéj: wola, energia i miłość, to téż oddział Parczewskiego Walentego stanowił odrębną całość od obrotów reszty partyzanckich hufców, stał zależnie tylko od woli nadkomendnego, któren znowu nikogo, krom uczucia honoru, nad sobą nieznał. Wolny w swych obrotach, zapuszczał się się z oddziałem gdzie chciał w głąb kraju, śledząc wroga, zaczepiając go, niepokojąc podjazdami, lub stawiając odpór. Stoczył téż 22 potyczek, z każdéj niemal zwycięzko wychodząc.

Raz, a było to na kilka dni przed spotkaniem pod Sędziejowicami, jadąc, w chęci połączenia się z Taczanowskim, pod Czepowém napadnięty został przez kozaków kubańskich; niechcąc przyjąć otwartéj walki, uchodził — odstrzeliwając się tylko — gdy w tém, na skraju lasu, rażony kulą padł koń pod nim. Zagrożony niebezpieczeństwem, widząc śmierć przed sobą, oparł się o drzewo, wyczekująco, z pałaszem w ręku i rewolwerami, „ażeby“ jak powtarzał „nim polegnę, nie zadłużyć się obowiązkom żołnierza — żegnałem dom rodzinny i zachodzące słońce, które nazajutrz już tylko mogiłę moją oświecić miało...“

Przeciągłe okrzyki i wycia tropiącego jak psy ślady powstańców kozactwa, coraz były bliższe. W tém kilku z szeregowych spostrzegłszy nieobecność dowódzcy, wraca — by przekonać się o stanie rzeczy, i żywego, czy zabitego unieść. Jeden z nich, dobiegłszy najpierw, widząc w jakim stanie się znajduje, zeskakując z konia, z wyrazem pełnym natchnienia, i téj potęgi władzy ducha, zawołał:

„Majorze! w imię Ojczyzny, ratuj się! oto koń mój!“

„Nie czas ku temu!“ odpowie mu Parczewski, „ty dzielny, zastąp mnie w obliczu Ojczyzny i szwadronu mego!“

„Majorze! na ten raz rozkazu twego nie słucham! bo Polska nie chce ofiary takiéj... żyć dla niéj musisz!... na dłużéj...“ i kiedy to mówił, strzał się rozległ — a u nóg dowódzcy padł młody bohater... oblany purpurą słońca... i łzami współkolegów...

Imię jego Józef Kumicz. Mogiła nad lasem pokryła szlachetne szczątki — dziś ją posiało polne kwiecie... i wplotła się w ten wieniec mogił jakie opasują łono Ojczyzny... chmurne jak jéj oblicze... samotne jak sprawa święta!... Ptak tylko i cicha rzewna sierót modlitwa strzeże tych miejsc... którém wzbroniono blasku... Ale są chwile cudu! gdzie mogiły i smutne serca uśmiechają się do słońca...

W połowie Lipca, oddział ciągnął krajem, szukając korzystnéj sposobności zaczepienia Moskwy; upał dokuczał niezmiernie — ludzie i konie byli znużeni — kurzawą dławiącą — ale nikt się nie skarżył, nikt nie szemrał, zbierając siły, by być gotowymi do chwili. Jadąca przodem szpica spotkała chłopa, któren przytrzymany oświadczył, że chce się widzieć z dowódzcą samym i jemu na ucho o czemś powiedzieć. Po chwili rozmowy z chłopem, którego kazał przy szwadronie zatrzymać, Parczewski oznajmia żołnierzom że o pół mili, w wiosce nad Bzurą, ma być Moskwa nie przygotowana do boju, nie spodziewająca się w tych stronach powstańców i że trzeba się z nią załatwić. Na wzmiankę o bitwie, dzielni żołnierze pomimo znużenia zawrzeli chęcią zwycięztwa!

Po półgodzinnym pochodzie ostrzeżony przez chłopa o bliskości miejsca, Parczewski wysłał podjazd z kilku złożony ludzi, by się przekonać o pozycyi jaką zajmuje nieprzyjaciel. Niedługo wrócił podjazd z wiadomością, że Moskwa stoi w środku wsi, bez pikiet i placówek.

Ruszono spieszniéj.

Tymczasem Moskwa nieoczekując napadu, poskładawszy na podwórzu ogrodzoném wysokim płotem broń w kozły, kąpała się w Bzurze. Oficerowie w białych kitlach, paląc papierosy i gwarząc wesoło, stali na moście, przyglądając się z roskoszą kąpiącéj „rabiacie“. Z daleka rozlegały się donośne hałasy.

W tém, któryś z oficerków prawdopodobnie chcąc nowe zapalić cygaro, podniósł głowę i krzyknął przeraźliwie:

„Kosyniery“.

Popłoch stał się straszny — żołdactwo zestrachane chciało się rzucić do broni — ale ponieważ do ogrodzenia w jakiem złożoną była wchodziło się jak przez wązki kołowrot, pchający się Moskale zaparli go do tyla, że pośpiech był niepodobnym — a tymczasem Parczewski z dzielną jazdą siedział im już na karku.

Bezbronni, klękając wołali: „pomiłuj!“ i nim zdołał dowódzca powstrzymać zapęd powstańców, Bzura poczerwieniała od krwi moskiewskiéj — a broń i amunicya zostały w ręku naszych.

Późnym wieczorem, po spiekliwym dniu, wolnym pochodem w okolicach Wiskitek spostrzegł na pustem polu niedaleko lasu, siedzącego w rowie chłopczynę, mógł mieć lat dwanaście. Odzież na nim była zbrukaną, lecz wykwintnego kroju, twarz ogorzała, lecz delikatnością rysów dystyngująca się, oko pełne życia. Trzymał w ręku sporą kromkę grubego żarnowego chleba i jadł.

Spostrzegłszy zbliżający się oddział, skoczył na nogi i stanął poprzek.

„Jestem ochotnikiem! i proszę o przyjęcie do służby!“ zagadł śmiało.

„Z kąd przychodzisz? i jak się zwiesz?! spytał nadkomendny.

„Zwę się Szkapa! Rodziców mam w słuźbie dworskiéj, tu z tąd mil kilka. Synów nas czterech, a ja najstarszy,

trudno więc najstarszemu siedzieć za piecem, kiedy kraj ludzi woła, a mnie sił stanie!"

Rozrzewniony Parczewski wolą dziecka zolbrzymionego miłością kraju, podziwiając śmiałe zachowanie się i pewność siebie, niechcąc zresztą zostawiać malca po nocy śród pustego pola, zrobiwszy wszakże nieco uwag, że sił i na późniéj trzeba będzie zaoszczędzić, a on tego późniéj dorastać winien i t. p., kazał Szkapę wsadzić jednemu z szeregowych przed siebie na konia i ruszył w pochód.

Szczęście chciało, że przez trzy dni koczowiska z dzieckiem, w którym nie udany zapał na każdym cechował się kroku, nie przyszło do potyczki żadnéj, znosił trudy z odwagą, upajając się szczęściem zawodu i chwałą przyszłego zwycięztwa, a w chwilach takich, mimo wielkiéj baczności i panowania nad sobą, zdradzał nie lada na wiek swój naukę.

Czwartego dnia od przyjęcia szeregowca, któren nieprzestawał upominać się o konia i broń własną; jazda Parczewskiego stanęła kwaterą w znanéj mu wsi, gdzie go z nieudaną powitano radością. Pani domu wybiegłszy na spotkanie znużonych braci, rozdawała z koszów jakie za nią służba niosła, owoce, brzoskwinie, morele, pomarańcze i t. d., a kiedy z kolei zbliżyła się do szeregu w jakim się Szkapa znajdował, zawołała: „Potocki!"

Chłopiec brwi namarszczył, udając że nierozumie i nieznа nikogo, przyjął pomarańczę, pytając naiwnie: jak jeść należy? czy z pestką? bo on takiego owocu nie widział nigdy, zna tylko śliwki, a i te najczęściéj z pestkami łyka.

Pani, miarkując umyślną naiwność chłopca, ze łzami w głosie odpowiedziała, że brzoskwinie i śliwki nikt z pestką nie je, że go pouczy jak obrać należy, a rozłupawszy kilka i wydobywszy pestki z matki czułością podała mu je na talerzyku. Zagarnął wszystkie i do kieszeni schował mówiąc: „Dla paniczów takie ceregiele i delikatesy! nam żołnierzom wystarczy kęs chleba ze słoniną i szklanka świeżéj wody."

Wprowadzony do dworu Parczewski, porozumiał się z gospodarstwem, jak zwrócić zbiega stroskanym rodzicom, którzy wysławszy gońce, telegramy i listy w różne strony, od chwili zniknięcia ciężkim złamani byli niepokojem. Poczém pożegnawszy serdeczne sobie osoby, wrócił do oddziału i wyjechał.

W dwie doby od umowy, stanął znowu u wrót znajomych. Państwo przyjętym zwyczajem wyszli go powitać, a z nimi w długiéj czarnéj sutanie ksiądz. Spostrzegłszy go siedzący w trzecim szeregu Szkapa, zawołał:

„Jestem poznany!" i zaniósł się od płaczu.

Państwo domu i ksiądz, któren był nauczycielem w domu Potockich, chłopca, zbliżyli się, Parczewski zsiadł z konia i w te przemówił słowa:

„Dekoruję Cię tym oto orłem", tu zdjął rogatywkę i wpiął szpilkę z narodowym znakiem przytrzymującą białe pióro, „schowaj go do chwili, aż może, jeśli mnie nie będzie, ktoś inny powoła Cię do czynu, nim to jednak nastąpi, ucz się, hartuj ciało, bierz wzory z wzniosłych czynów męczeńskiéj braci twojéj, a niezapominaj szeregu tych walecznych, (i wskazał na oddział) których trudy tak wielkie znosić umiałeś. Oto następczyni matki i krewna,*) w któréj ręce oddaję Cię, a oddaję z chlubą, bo dojrzałeś, jako przystoi na dziecko Polskie."

Chłopczyna rzucił się mówiącemu na szyję, oblewając łzami i tuląc pamiątkę do piersi. Scena ta rozrzewniająca byłaby długo jeszcze się przeciągała, gdyby nie ciekawe zagadnięcie pana domu, jakim sposobem zdołał ujść od rodziców z Warszawy.

„Najprostszym wybiegiem!" zawołał, „zmyliłem czaty i dostałem się w pole... Od dawna, bo od początku ruchów czułem że dom rodziców moich stał się dla mnie twierdzą i cisnął duszę... nadużycia po ulicach i kościołach zbroiły ją... pragnąłem zemsty... i męczyłem się tém więcéj że ją taić musiałem nawet przed najbliższymi. Aż dnia jednego, w gorący ranek pijąc śniadanie wspólnie, założyłem się z siostrami, że w południe samo w ciepłem ubraniu, t. j. dwóch parach spodni, surducie i płaszczu przebiegnę cztéry ulice miasta. Zakład skończony, naturalnie w tajemnicy przed starszymi którzy byliby mi zabronili narażać się na upał — i w oznaczonéj godzinie, ubrany podług zakładu, wyszedłem z domu. Lotem ptaka przebiegłem ulice i rogatki, nie czując znużenia i ciężaru — tam ztąd, nieznaną drogą, lasami, na zachód słońca się kierując, doszedłem do swoich."

To mówiąc zwrócił się ku oknu, w stronę gdzie stał oddział i serdecznym ruchem, rozwarłszy ramiona, jakby chciał ich wszystkich przycisnąć ku sobie, pożegnał.

Czy dotąd to uczucie święte gra mu w piersi? Czy zachował wspomnienie téj uroczystéj a może najpiękniejszéj w życiu chwili? czas, przyszłość okażą.

Parczewski pożegnawszy spiesznie otaczających, wybiegł, kryjąc wzruszenie — siadł na koń, zakomenderował — oddział się sformował — i dwójkami wyruszył drogą za wieś.

*) Pani domu była urodzona z Potockiéj.

(C. d. n.)

Szarada.

I najbiedniejszy drugie jakieś pierwsze trzecie,
Wszystka znajdzie się w szkole, czwarta w alfabecie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 37: *Operetka.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Teofilowi S. pod Poznaniem: Szarady otrzymaliśmy ale użytku z nich niezrobimy. — Panu J. Gordonowi we Lwowie: Przypominamy się jego pamięci — Panu Sikorskiemu w Krakowie: W tych dniach otrzyma pan odpowiedź. — Panu Wołodemu Skibie: Przepraszamy za zwłokę — sprawa już jest ukończona.

Od Wydawnictwa.

Z dniem pierwszym Października r. b. **Sobótka** rozpocznie czwarty kwartał trzeciego roku istnienia. Przypominamy naszym abonentom o odnowieniu prenumeraty, którą przyjmują wszystkie księgarnie i król. pruskie urzędy pocztowe. — W tych dniach rozpocznie się druk nowéj powieści.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).